



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA

U nas to już tak najczęściej bywa, że energia, pomysłowość, zapobiegliwość budzą się dopiero po dokonanej fakcie, nabieramy, popolsku rozum po szkodzi, poprawiamy się dopiero po chłości.

Stara, brzydka, znarowiona natura nie chce się zmienić.

Przed czterema tygodniami zdarzył się w jasny dzień pożar przy ulicy Freta, ogień buchnął z rozlanej benzyny w górę, objął klatkę schodową, wążutką, jak droga do nieba, odciał odrazu komunikacją ze wszystkimi piętrami i skazał na całopalenie tych, którzy nie chcieli skakać z okien na bruk uliczny. I pokazało się dopiero niedbalstwo i lekkomyślność ludzka, niezadność, brak środków ratunkowych w takich nadzwyczajnych, ale przewidywanych wypadkach, wadliwość w sygnalizowaniu niebezpieczeństw publicznych, zawrót głowy i nieprzytomność.

Straż przybyła na miejsce pożaru zapóźno, bo jej nikt na razie nie uwiadomił; nie było drabin dość długich, by sięgnęły do najwyższych pięter; nieszczęśni lokatorzy, jak koty i wiewiórki w płonącym lesie, musieli wspinać się między niebem a ziemią, czepiać się gźemsów, wyskakiwać oknami, zabijając się na miejscu.

Kilka trupów, pomiędzy temi dwa zupełnie zwęglone, kilku skaleczonych, ruina ludzkiego dobytku: oto ofiary wypadku, nieostrożności i zaniedbania.

Teraz mądrych doradców, mądrych adwokatów sprawy co niemiara; pisze się i mówi dużo, co należało zrobić, jakby złemu przeszkodzić,

jak nie trzeba w ciasnych domach urządzać składu materyałów palnych, jakie powinny być przyrządy do ratowania ludzi i pożaru, w jaki sposób najlepiej urządzać sygnały; ale to wszystko zajmie dużo druku i papieru, a kiedy nieszczęściem nadarzy się druga taka katastrofa, pokaze się niestety, że znowu czegoś zabraknie, czegoś się, zrobić nie potrafi, coś się spóźni i tak w kółko bez końca.

Przed rokiem nastraszyła nas trochę cholera, przed kilkoma dzumą; zaczęliśmy na gwałt pisać artykuły, broszury, dyskutować o medycynie popularnej, o sanitarnych kwestjach, jak skończeni akademicy, ale na dziedzińcach naszych w officynach, komórkach, mieszkaniach pozostały te same brudy i niechlujstwo.

Dzisiaj widmo cholery już się poza Alpy gramolić zaczyna i coraz bardziej ku środkowej Europie się ciśnie, a my, oswojeni z niebezpieczeństwem, nie lękamy się już więcej groźnego gościa.

W zeszłym roku wyczekiwaliśmy go: nie przyszedł; może i w tym się rozmyśli i nie przyjdzie..

A gdyby jednak zrobił nam tę niespodziankę i przyszedł?... oddaj się Bogu!

Czułość nasza już się sfatygowała daremnie wyczekiwaniem, więc postanowiliśmy posłuchać rad Dr. Ochorowicza i... nie bać się cholery, chociażby jutro u nas wybuchnąć miała.

Po epidemii będziemy znowu dyskutowali, radzili, narzekali, nabierzemy rozumu i doświadczenia, z którego znowu praktycznego użytku nie zrobimy.

Tymczasem słonko nam świeci, dopieka, wypala mózgi w głowach, wysusza rzeki, rynsztoki, rozwija miliardy miazmatów i śmieje się z wodociągów warszawskich, które pełnią swój urząd tytułarnie i są wodociągami *in partibus infidelium*.

Robotników przy kanalizacyi i wodociągach

z polecenia p. Lindley'a poją podobno limonadę, zabroniwszy im używać wody niezdrowej, a *nous autres* śmiertelnicy pospolitego gatunku chodzimy po warszawskim bruku, jak Hagar po puszczy z językiem wyschlým i spieczonym, belkocząc zaledwie: „Jehowa, kropelki choć dżdżu!”

Te gorąca, jakie od pewnego czasu nam dokuczają, rozdrażniają najspokojniejsze dotąd temperamenta, a wiadomo, że straszniejszym od lwa i tygrysa bywa człowiek w szale.

Pod wpływem rozdrażnienia robi albo kolosalne głupstwa, albo wielkie zbrodnie.

Nie wiem komu i czemu, jeśli chyba nie słońcu, przypisać winę, że w ostatnich czasach patrząc musiałem na wiele rzeczy, które w normalnej temperaturze i przy spokojnem powietrzu możeby się nie wydarzyły.

Zaciekłość ludzka nigdy nie bywa sprawiedliwą, a kiedy zaslepi człowieka, to go popchnie na takie manowce, że wpadnie w przepaść na złamanie karku, nietylko sam, ale razem z tem, czego strzedz, pilnować, szanować i czcić więcej od życia swego powinien.

Kiedy się pospolicu ludzie biorą za czuby, to sprawa redukuje się do zwyczajnej bójki i przechodzi do kroniki policyjnej; ale kiedy za bary chwycą się ludzie wykształceni, którzy coś mają reprezentować więcej, niż swoje muskuły, pięści, kije i parasole, którzy czemuś wyższemu i szlachetniejszemu od swoich namiętności i krewkich popędów powinni być posłusznymi: to kwestya ich zapasów nabiera zupełnie innego znaczenia i wtedy jest racya zapytać się: „O co ci panowie się biją i szarpią, drapią i kasają wzajemnie i czy wolno z tego robić publiczne zgorzsenie i widowisko, na którym nie oni osobście tracą, ale stronnictwo, do którego należą, ale idea, której wiernie służyć mają?”

Jest to wielkiem nieszczęściem, że osobistości stają u nas zwykle ponad wszystkim, że ludzie rozdrażnieni w swojej miłości własnej nie wy-

baczą najmniejszego uchybienia, najmniejszej krzywdy swojej, choćby dla uzyskania satysfakcji pokrzywdzić mieli coś ważniejszego i wyższego od siebie, narazić jakiś interes ogółu, lub wielkiej jego grupy.

Kropla zółci większą miewa wagę i znaczenie niekiedy u nas od całej kwarty krwi najszlachetniejszej.

Nie chciałbym, aby mnie posądzano, że należę do tych natur limfatycznych, wystygłych, albo egoistycznych, które ślimaczy żywot gotowi apoteozować i dla miłego pokoju, znieść wszystko pod jakimkolwiek pozorem, byle tylko nie stawać do ryzykownej walki. Nie, rozumiem jej obowiązek nawet w pewnych wypadkach, ale między bójką a bojem, między awanturą a rozprawą zbrojną widzę zawsze pewne różnice; pierwszej unikam, bo ani pięści, ani kija nie uważam za broń szlachetną, choć najbliższą i najłatwiejszą do obrony czy napaści.

Rozróżniam też odwagę od czelności; pierwsza zabija lub rani, druga umie rozdawać policzki lub szcztuki tylko, nie staje porycersku, gdzie chodzi o walkę w szlachetnej sprawie.

Owszem, niech ludzie walcą z sobą o przekonania, o honor, o idee; to rzecz konieczna i godziwa, ale nie z zaciekłością zwierząt, a zwłaszcza niech sobie nie skaczą do oczu, jak koguty, gdy mają ważny powód sporu.

U nas najczęściej każda walka na słowo żywe czy pisane staje się rozmazywaniem obelg i obrazy osobistej; nie o silniejsze argumenta w sporze, ale o silniejsze epitety chodzi, a gdy trzeba koniecznie postawić na swoim, niema środka, którego by nie użyto dla dokuczenia przeciwnikowi, niema drażliwości, którejby w nim nie dotknęto.

Zadna różnica wieku, talentu, inteligencji, stanowiska, wpływu, zasług, pracy, charakteru nie wchodzi w rachubę; pierwszy lepszy rekrut rzuca się na dowódcę, trębacz czy dobosz porzywa za chorągiew i nie pyta, czy całego obozu tym awanturczym alarmem nie naraża.

Mówi się wiele o konserwatyzmie i postępie, ale jego interesów w danej chwili nie umie się wyżej postawić i strzedz ponad własne prywaty, sympatyje i antypatyje osobiste, rachuby i ambicji.

Bywało dotąd, że jedno stronnictwo ścierało się z drugim, że wrogo powstawało przeciw niemu, ale każde przynajmniej samo u siebie miało jakąś solidarność, spójność i równowagę; dzisiaj zaczynają się rozterki wewnątrz obozów, ludzie zpod jednego znaku, jednej broni, jednego hasła godzą na siebie zapamiętałe, rozprzegają się z szeregow i dają z siebie gorszące widowisko domowej wojny.

Oby nie przyszło żałować po niewczasie tego uporu z jednej, tej młodzieńczej junakeryi z drugiej strony, wtedy, gdy się dadzą uczuć skutki dzisiejszych harców i podjazdów.

Wolałem obwinąć słońce, niż kogokolwiek z ludzi o przyczynę tej zapalczowości, jaka od kilku tygodni rozbrykuje atrament w naszej najpoważniejszej nawet prassie; a tymczasem to słońce taką ma wesołość, poczciwą, uśmiechniętą minę, jakgdyby mu się na naszej ziemi wszystko pięknem, dobrem, zacnem wydawało, jakgdyby całym sercem przyświecać chciało ludzkości do szczęścia, wesołości i zabawy.

Najwdzięczniej oczkują z niem w tym czasie sportsmeni, wystawcy, dyrektorowie teatrzyków ogródkowych i piękne kobiety, które radeby były przed wyjazdem do kąpieli i na willegiaturę ołsnąć jeszcze szykiem Warszawę podczas *corsa* w Alejach i na wyścigach czerwcowych.

O wystawie inwentarza na Ujazdowie opowiadają sobie już teraz prywatnie, że zakasuje wszystkie poprzednie; filantopia zaś zamierza uwieńczyć żywot wystawy dwudniowym festy-nem, w którym rozmaite sztuki i cuda niewidziane i niesłysane zachwycać mają tysiączne tłumy.

Towarzystwo Dobroczynności i kassypożyczkowe dla rzemieślników podzielił się dochodem, który niewątpliwie będzie bardzo znaczny.

Warszawa lubi się gapić, chociażby niewiele

zobaczyła: a tu obiecują jej pochody kostyumowe, obrazy żywe na ruchomych estradach, monstre-koncerta, wiejską kapele, ognie sztuczne, słońca elektryczne, tombolę z żywymi fantami a w dodatku gratisowy bukiet dla każdego widza przy wejściu, podawany rączkami najpiękniejszych syren warszawskich.

Wogóle Czerwiec obfitować ma w rozmaite rozkosze i wrażenia niezwykłe, począwszy od dawno projektowanej wycieczki zbiorowej artystów, wszelkiego rodzaju synów, pasierbów i adoptowanych dzieci muz, aż do Wianków, które w tym roku mają naprawić zepsutą w roku zeszłym tradycją tego poetycznego obchodu.

W Czerwcu też zapewne przyjdzie do skutku owa wyprawa do gór Świętokrzyskich i wycieczka po malowniczych okolicach kraju, do której teraz już werbują ochotników; ja sam mam wielką chęć wziąć w niej udział w charakterze kronikarza, spisującego sumiennie dyaryusz podróży i wypadków na popasach i noclegach. Byle tylko koszta tej przyjemności nie wyniosły tyle, co wycieczka do Szwajcaryi, bo u nas tanio podróżować i bawić się jeszcze nie umiemy.

Skoro tylko wydano hasło: „nie jedziemy do niemieckich sprudłów i badów,“ podskoczyły jak na komendę ceny w naszych krajowych zdrojowiskach i stacyach klimatycznych.

Otóż to nasza polityka i ekonomia!...

Wprawdzie, mają nas drzeć cudzoziemcy; niech nas lepiej obdzierają swoi; tylko kiedy już solą, niechże przynajmniej to słone będzie naprawdę smaczne, zdrowe, czyste i wygodne.

Niestety, — najczęściej bywa drogo i źle.

Małym a trwałym zyskiem nikt się nie chce zadowolić; każdy radby od razu w jednym roku powetować sobie wszystkie straty poniesione w latach poprzednich, nie uwzględniając następnych, nie rozumiejąc dobrze własnego interesu na przyszłość i warunków konkurencji.

Nasze zatargi z Niemcami mogłyby bardzo korzystnie wypaść dla handlu, przemysłu i rozmaitych przedsiębiorstw w kraju, gdyby umiano je rozsądnie wyzyskać.

Niemczykowię w strachu, próbują wbrew ks. Bismarckowi ułagodzić Polaków, wabią do siebie, zapraszają, obrzydliwym polskim językiem przestają gardzić i polskich korespondentów używają do pośrednictwa z nami.

Trudno o przychylniejszą chwilę i lepsze warunki zwrócenia całego ogółu ku swojskiej produkcji, ku krajowym instytucjom, fabrykom, firmom, zakładom, byle tylko ten zwrot nie napotkał na zawody i zawady.

Kiedy nas oburzenie ominie, złość ostygnie i energia osłabnie, Niemcy znowu podwójnie gotowi zatryumfować i przekonać nas, że się bez nich obejść nie potrafimy, że nie umieliśmy wyzyskać sytuacji ani moralnie, ani materialnie.

Pod tym ostatnim względem rzadko kiedy udaje się nam wyzyskiwać nasze warunki.

Kołatano długo, pisano wiele, radzono jeszcze więcej nad potrzebą utworzenia giełdy produkcyjnej i towarowej w Warszawie; nareszcie otwarto ją w zeszłym tygodniu przy... bardzo nielicznym udziale interesantów. Znalazło się tedy przyzwoite pomieszczenie, znalazło się ognisko dla stosunków handlowych bezpośrednich i dla skoncentrowania obrotów kupna i sprzedaży bez udziału faktorów; zobaczymy oile z tego udogodnienia korzystać zechcą intelligentniejsze sfery handlujących.

Zrobiło się znowu coś pożytecznego i dobrego, niechże ono trwa i rozwija się w coraz lepsze.

U nas tak trudno zaprowadzić jakąś innowację, zwłaszcza w dodatnim kierunku; przyzwyczajenia nie wykorzeni tak łatwo nawet najoczywistszy dowód korzyści osobistej.

Przychliłe trechę skargi na zastój przemysłowo-handlowy w ostatnich czasach znowu się zaczynają odzywać; położenie obecne podobne do garnka z mlekiem, w którym śmietana zebrała się grubym kożuchem na wierzchu, chude podśmietanie spodem, a powoli zaczyna się woda zbierać od dołu. Wielkie kapitały zebrane w gotówce, leżą beczynnym w rękach finansistów, stan średni, drobny przemysł nie ma środków

większego obrotu, a niższe warstwy wyglądają pracy i zarobku, którego niema znów komu dostarczać przy coraz wolniejszym ruchu przedsiębiorstw i interesów na większą skalę. Ogólny zastój wytworzył takie trzy nieruchome warstwy, które dałyby się zmieszać i rozuszać jakąś wielką inicjatywą, ale o tej nadarmo dotąd myślą i radzą ekonomiści nasi.

Niepewność sytuacji sprawia, że ludzie nawet najbogatsi boją się ryzykować swe kapitały i wyczekują z założeniami rękoma tego lepszego jutra, dającego większą rękomię powodzenia.

Wśród takiego zasklepienia się finansowego, nietylko u nas, przychodzą Nababom tego świata dziwaczne pomysły wyklejania sobie gabinetów banknotami europejskimi, zamiast tapetów, jak to uczynił amerykański milioner p. Mackay.

U nas nie doszło jeszcze do takiego oryginalnego pomysłu, na który tylko fantazyja zbyt szczęśliwego bankiera zdobyć się może; pieniądzą jeszcze umiemy nadawać użyteczniejsze przeznaczenie. Oto dowodem dwa hojne zapisy, które znowu w kronikach filantropii i dobroczynności warszawskiej złotymi głoskami wpisane zostały jednocześnie zeszłego tygodnia; jeden stanowi ofiara obywatela tutejszego p. Szymona Krzeczowskiego, który za życia oddał Towarzystwu Dobroczynności majątek swój złożony z dwóch kamieni nabytych przed kilkoma miesiącami, zastrzegłszy sobie do śmierci wolne mieszkanie z trzech pokoi złożone i 2,000 rs. rocznej renty.

Drugim ofiarodawcą jest jakiś bezimienny dobrodziej, który 80.000 rs. przeznaczył na budowę nowego kościoła na terytorium cmentarza w Brudnie, żądając tylko, aby po śmierci pochowano go, jako fundatora pod samym progiem świątyni. Zdarzają się jeszcze w naszych czasach dowody tak głębokiego pietyzmu i miłości bliźniego, że z cziłą największą o nich wspominać przychodzi.

Przy tej sposobności winienem zwrócić uwagę, na odezwę JE. arcybiskupa Popieła, który ogłasza zbieranie składek na budowę kościoła na Pradze; będą to kamienne głoski modlitwy, wypisanej hojną ręką wiernych dla czasów potomnych.

Na zakończenie nie mam wiadomości pomysłnych.

Schorzały, spracowany Nestor naszej literatury, J. I. Kraszewski nie otrzymał od rządu niemieckiego przedłużenia urlopu; lekarze powróci do zimnych murów twierdzy magdeburgskiej uważali za zagrożenie jego życia. W Berlinie wszelako nie uwzględniono prośby 74-letniego starca, uwolnionego za kaucją 22,000 marek z więzienia. Kraszewski przeto wolał poświęcić pieniądze, niż resztki życia tyle jeszcze potrzebnego naszej literaturze i postanowił pozostać pod włoskiem niebem, które wzięło jego siły krzepi promieniami dobroczynnego słońca.

Quis.

Z poezji północno-amerykańskiej.

BAYARD TAYLOR.

Kamadewa. 1).

Księżyc i słońce, gwiazd świętych miliony
Błysły, jak nigdy, naksztalt złotych strzał,
Światem krzyk zabrzmiał radości szalonej,
Gdy Kamadewa wstał.

Kwiaty zaślśniły, świt ranny i cichy,
Purpury morze na świat senny złał,
Woń czarodziejską tchnęły róż kielichy,
Gdy Kamadewa wstał.

1) Bożek miłości u Indian amerykańskich.

W liściach tamarynd miłosne gruchanie
I powitalny szczebiot ptactwa brzmiał,
Lew z łap potężnych żywą puścił łanię,
Gdy Kamadewa wstał.

Morze łagodnie szemrało o brzegi;
W czarownych ogniach stały szczyty skał:
Z nieba uciekły chmur, obłoków śniegi,
Gdy Kamadewa wstał.

Wszzechserca drżały pogrążone w świty,
Wieszcz na swej harfie pieśń najśłodsza grał;
Nieprzeczuwane świat poznał zachwyty,
Gdy Kamadewa wstał.

Nowe wstąpiło życie w każde łono,
Upajający owiał ludzi szal;
Widziano nawet śmierć z dzidą spuszczoną,
Gdy Kamadewa wstał.

PRAWA KOBIETY.

(Le droit de la femme par Charles Secrétan, professeur de droit naturel à l'Académie de Losanne, correspondant de l'Institut de France. Losanne-Paris, 1885).

(Dokończenie).

Były czasy, w których opierając się jakoby na niższości umysłowej kobiety, pozbawiano ją praw wolnego rozporządzania osobą i majątkiem swoim. Nowoczesne prawodawstwo zasady tej nie uznaje i kobiecie pełnoletniej przysługują dziś pod tym względem te same prawa, co mężczyźnie. Mężatka przecież utraciła coś z tych praw na korzyść rodziny; dla jedności działania, dla nierozstrzelania na dwa różne kierunki obrotów majątków, które stanowią o rodzinie tej mieniu i dobrobycie, mąż jest dotąd głównym zarządcą majątku żony. Wprawdzie nie może on działać z zupełnym pominięciem żony i w większej części krajów Europy potrzebuje jej przyzwolenia, jej asystencji przy akcie, mocą którego coś o tym majątku stanowi. Że przecież żona nie używa takiego samego prawa kontroli i zgody na rozporządzenie męża jego własnym już majątkiem, że mąż bez jej przyzwolenia może to, co prawnie do niego należy, sprzedawać, wypożyczać i dowolnie działać we wszystkich majątkowych swych sprawach—jest więc nierówność, przeciw której podnoszą się głosy kobiet. Intercyza ślubna może wprawdzie zastrzedz kobiecie pewne prawa co do używania mienia swego, nigdy przecież nie może jej usamowolnić w sposób, zupełnie sprzeczący się z prawem krajowym tak, aby mężatka była ponad kontrolę męża zgola podniesioną, chyba przy wyjątkowym stanie umysłowej, lub moralnej jego niepoczytalności, co mu na drodze sądowej dowiedzionem być musi.

Nie tu znaczyć nie może zarzut, że kobieta mniej od mężczyzny obznajomiona bywa z biegiem spraw i obrotem interesów majątkowych, bo obznajomić się może—może zresztą, tak, jak to czyni większość mężczyzn, przyzwać do pomocy doradcę prawnego; ale jest inny i ważniejszy rzeczy tej powód. Kobieta jest w sposób inny, niżeli mężczyzna, domowymi sprawami rodziny zajęta, a zajęta tak być powinna, aby dziecko, które jest jednostką w przyszłości narodu, rosnącym członkiem społeczeństwa, chowało się dobrze pod względem moralnym i fizycznym. Prawodawca dla względów najwyższego dla ludzkości znaczenia, tak konfiskuje na korzyść rodziny majątkową swobodę mężatki, jak Mill, dla tych samych względów chce, aby skoufiskowaniem było jej polityczne prawo zasiadania w zgromadzeniu, które rządzi krajem i reguluje bieg jego spraw politycznych.

Kobieta reguluje podobnie bieg spraw domowego zarządu i gospodarstwa rodzin; jest to w narodzie ministerium spraw wewnętrznych,

tak jak mężczyzna ma sobie zdanem ministerium spraw zewnętrznych. Ta druga, poza wychowaniem, funkcja kobiety ma też ważność pierwszorzędną, równą niemal w doniosłości swojej funkcji wypielęgnowywania fizycznie i wychowywania moralnie rosnącego pokolenia, czyli przyszłego narodu. Secrétan nie widzi w takim urzędzeniu społecznym upośledzenia i ucisku kobiety, lecz tylko konieczny podział pracy.

Jest przecież wielu mężów nadużywających posiadanego prawa zarządu majątkiem żony—wielu mężów nieuczciwie tracących poza rodziną, poza interesami rodziny majątek, nie już wspólny, ale należący całkowicie i bezspornie do żony. Czy przecież jest na świecie jakie prawo zdolne zapobiedz w pojedynczych szczegółach nadużyciu—związać namiętności, wlać w dusze wszystkich osobistości ludzkich uczucie prawości, pojęcie obowiązku i sprawiedliwości? Prawa, to jak wielkie trakty, bite wskrosz ludzkości, której runki główne wytykają, zawsze przecież istnieć będą te drużyny poboczne, które obchodzą je mogą jednostki natury przewrotnej i lichej, niemoralne i prawo łamiące. Niech kobieta przy wyborze męża będzie uważną i rozsądną, niech jej miłość dostaje się tylko szlachetnemu, niech nie rządzi nią głównie wzgląd na majątek, niech wreszcie — a tu Secrétan dodaje, że dotyka bardzo ważnej kwestyi w życiu kobiecości—niech kobieta nie idzie za mąż jakgdyby pod przymusem karnym, dlatego tylko, aby starą panną nie została. Niech, bogata zwłaszcza, zna wartość moralną tego, któremu podaje rękę, mającą ją związać z nim na życie całe doli i niedoli, a mniej będzie niedobrych małżeństw i nieszczęśliwych kobiet, zmuszonych do bronienia majątku swego paragrafami kodexu. Życie kobiety samotnej smutne jest i ciężkie, istnieje przytem w piersi kobiety większa miłość, niż w sercu mężczyzny, potrzeba kochania, zlania się z drugą, drogą jej istotą — przecież małżeństwo zawarte nieszczęśliwie, połączenie się na całe życie z człowiekiem miłości niegodnym, wyzyskiwaczem majątku żony, jest najcięższą na świecie niedolą kobiety.

Przy znacznie większej liczbie kobiet, co jest zjawiskiem stałym we wszystkich narodach, znajdują sobie żony ludzie tacy nawet, którzy nie mogą utworzyć szczęśliwego ogniska domowego—szczęśliwej rodziny. Dzisiejszy ruch emancypacyjny, dzisiejsze pojęcie praw kobiety powinno-by wpłynąć zwycięzko na ten przesąd rozpowszechniony na cały świat cywilizowany—na nierozsądny wstyd, łączący się z nazwą starej panny. Czyż to konieczne przypuścić trzeba, że jej nikt nie chciał? A może to ona nie chciała, nie znalazłszy na swojej drodze nikogo, którego-by mogła wybrać na towarzysza życia wedle pojęć o wyższej godności człowieka o wyższym ideale mężczyzny? Nie potrzebuje się przytem dojść do zgryźliwego przekonania, jak to starym pannom przypisują—że mężczyzna nie wart jest miłości kobiety — nie.... Ją tylko nie spotkało szczęście takie, aby znaleźć, godnego jej miłości człowieka, wyciągającego ku niej rękę.

Przed starą panną powinny się otworzyć te kierunki działalności publicznej, które-by pozwoliły zużytkować jej siły, i to uważa Secrétan za jedno z najpierwszych praw kobiety, aby samotna je znalazła — aby prawomocnie upominać się o nie mogła. Jakże są te zajęcia — nie wymienia ich, bo, o tem samym jużby wielkie dzieło pisać trzeba, przypomina tylko, że najdalej w kierunku emancypacyjnym idąca, ale rozumna i głębiej w naturę rzeczy wnikać kobieta nie może utrzymywać, że nie ma żadnych przyrodzonych różnic pomiędzy mężczyzną i kobietą. Jest już różnica widoczna i niezaprzeczalna sił fizycznych, zatem jest większa i mniejsza wytrzymałość na trud, jest większa i mniejsza zdolność rozszerzonego kręgu działalności. Są różnice, jeżeli nie w stopniu, to w jakości uzdolnień umysłowych, oraz w gustach i skłonnościach. Materyaliści, którzy usuwając na bok pewne delikatności uczucia i cnoty, na podstawie ideału wytworzone, wyznają też ogólnie najdalej posunięte teorie bezwzględnej emancypacji kobiety, powinni-by, przeciwnie, jako opie-

rajający się głównie na naturze fizycznej, odrębność kobiety silniej uznawać.

W żadnym razie przecież nie można na mocy tych odrębności odsądzać kobiety od działalności społecznej i politycznej, skoro tylko nie wzięła na siebie obowiązków innego rodzaju—rodzinnych, domowych — i społeczeństwo powinno pozwolić jej, aby ich sobie wyszukała, aby znalazła je i pełniła, dając ujście siłom otrzymanym od natury i domagającym się wywarcia w działalności odpowiedniej: „To jest prawem kobiety, aby miała prawo do pracy odpowiadającej jej pragnieniom i skłonnościom przyrodzonym.” Autor zdaje się przychylić do dopuszczenia kobiety, nie mężatki, do urnej wyborczej, a dalej zaznacza, jako wielki dział pracy społecznej, dobroczynność, „uorganizowaną na szerokiej postawie.” Starzec, lub kaleka do pracy niezdolny, także dziecko do pracy jeszcze za słabe, stają się rękami, żyjąc z jałmużny dobrowolnej i niepewnej. Podatek stały, określony na zasadzie zasobów majątkowych ludzi dostatnich: oto sposób usunięcia nędzy i zepsucia, które za sobą niesie, oszustwa, które się leniwie pod płaszczyzn ubóstwa kryje. Dobroczynność, urządzona, jako instytucja, z kobietą urzędniczką, — to wielki dział społecznej pracy kobiecej. Kobieta nie może być żołnierzem, bo jej brak siły fizycznej, ale państwo może i powinno otworzyć jej inne pole użyteczności publicznej i wymagać od niej, aby się na nim znalazła, jako wychowawczyni dziecka sieroty, jako administratorka łaskawego chleba, przyznanego kalektwu, oraz inwalidom pracy.

Autor jest silnie tego zdania, że społeczeństwo obowiązane jest brać w rachunek tak zwaną słabość kobiety, to jest odmienne kobiety uzdolnienie.

„Ale jak daleko idą różnice? Nie wiemy tego dostatecznie i wiedzieć nie możemy, dopóki o edukacji dziewcząt stanowić będziemy (w państwie) wyłącznie my sami... (mężczyźni) pisze autor i żąda dalej, aby kobieta miała głos publiczny w sprawie wychowania kobiet. Różnica natury męskiej i kobiecej, której mężczyźni bez współdziałania kobiety nigdy dobrze nie pojmą, czy nie powinna się odbić i w prawodawstwie, tworząc dwie klasy osobistości prawnych? (personnalité juridique). Autor, poświęcając tej kwestyi kart kilka, chce, aby znajdowało się zdanie kobiety i w prawodawstwie, dotyczącem kobiet. Jeżeli rzecz ta jest niezbędną dla prawowitości przepisów, rządzących kobietami, jest niemniej konieczną, aby doświadczenie kobiece, kobieca inteligencja wspomagała tu rozum i dobrą wolę mężczyzny. Jednym słowem: uczone szwajcarski żąda, aby głos kobiety odzywał się wszędzie, gdzie się waży jej interes, gdzie się stanowi o jej dobru, gdzie jakaś odpowiedzialność spada na nią.

Żąda następnie, aby praca kobiety była na wszelkich polach pracą wolną, przez nikogo nie tamowaną. Gdzie kobieta okaże się, jako siła pracująca, niedostateczną; gdzie wartość jej produkcji nie wytrzyma współzawodnictwa z pracą męską—tam praca ta upadnie sama przez się. Jeżeli prawo i społeczeństwo nie daje pracy kobiecej żadnej protekcji z tego powodu, że kobieta jest słabsza, jeżeli nie zabezpiecza pewnych gałęzi pracy odpowiednich jej siłom dla niej tylko — nie popełniajmyż czynu niesprawiedliwości, broniąc kobiecie pracować tam, gdzie jej się podoba. Złe lub dobre owoce jej pracy same rzecz rozsądzą.

Zasada w teorii wydaje się najzupełniej słuszną i na korzyść dobra kobiety postawioną; przecież nie jest tak w praktyce życia. Praca kobiety fabryczna, osobiście nocna, praca kobiety w kopalniach węgla, jest boleśnie oburzającą i przeciw dobru kobiety w rezultatach swych wypada, jak to uznaje większość moralistów i ekonomistów, najliberalniej zapatrujących się na kwestyę pracy kobiecej. Spekulacja fabrykantów na tańszą pracę kobiecą zastępuje ją na coraz szerszą skalę droższą pracę męską. Dzieje się ta rzecz okrutna i nienaturalna razem, że kobieta pracuje, a mężczyzna przebywa ciężkie bezrobocie, i albo wcale się nie żeni, albo w małżeństwie przemieniają się role: mężczyzna pozostaje w domu z dziećmi, a kobieta wysila się

nieszczęście z krzywdą najwyższą dla fizycznego i moralnego porządku rzeczy i przyszłości rodziny. W Prusach, w Saxonii, w przemyśle tkackim nadużycie to stało się tak ogólnie rozpowszechnione, że wywołało protest, dotąd jednak daremny, najsprzecznijszych z sobą partyi. Bismarcki i Bebel jednak podnieśli głos przeciw potwornemu stanowi rzeczy. W obecnym rozwoju pracy kobiecej w wielu jej gałęziach zaczyna się sprawdzać proroczy wykrzyk Micheleta, wydany o pierwszej dobie organizującej się pracy fabrycznej, poza domowej pracy kobiecej na chleb: — „Robotnica!... wyraz przeklęty.“

Ekonomiści francuzcy, a między innymi Leroi-Beaulieu, który kwestyą pracy kobiecej studyował szczególnie, dochodzą podobnie do przekonania, że w ogromnym zastosowaniu praca kobiety poza domem w gałęziach tych, gdzie dotąd pracował tylko mężczyzna, jest nieszczęśliwym i nienaturalnym przeniesieniem jej tylko z głowy na głowę. Wszystko na tem traci — cały cywilizowany ład życia się podkopuje, a zysk otrzymuje tylko kapitalista, który operuje tańszymi siłami.

To, co autor szwajcarski postawił na początku swej książki, jako zasadę moralną, mającą regulować stosunki kobiety wśród świata, i być podstawą tak jej praw, jak prawa, któremu ulegać powinna, to właśnie stawa na przeszkodzie bezwzględny jej prawu do pracy: „Moralnie religijnie, kobieta jest niemniej, niewiecej, tylko inaczej niż mężczyzna, środkiem dla dobra ogólnego, w którym zawiera się jej własne dobro.“ (Moralement, religieusement, la femme est, ni plus, ni moins, mais autrement peut-être que l'homme, un moyen pour le bien général, dans lequel son bien propre est compris).

W imię takiego dobra kobiety, które zawiera się w dobru ogólnem, autor pragnąłby małżeństwa nierozzerwalnego (indissoluble), ale na tej szali, która waży szczęście małżonków i los rodziny, przychodzą się mieścić ciężary tak różnorodne, tak nieprzewidziane, że tworzy to kwestyą, której arbitralnie przesądzać nie można i która wymaga od prawodawcy zgłębienia jej i rozbiór. W zasadzie utrzymuje Secrétan nierozzerwalność węzłów małżeńskich, rozwód przyjmuje jako smutny wyjątek: „Z punktu widzenia moralnego, prawdziwym małżeństwem, dobrem małżeństwem (le vrai mariage, le bon mariage), jest niezawodnie małżeństwo nierozzerwalne. Ktoś, co kocha prawdziwie, jest przekonany, że będzie kochał zawsze, więc oddaje się na zawsze i pod tym tytułem jest przyjętym. Dotrzymać słowa współmałżonkowi, znaczy to dotrzymać go samemu sobie, a jeżeli miłość zrodziła miłość, jeżeli zamienione przysięgi były szczerem, nie można cofnąć się, nie rozrywając serca drugiej strony. Nie ma się już do tego prawa: ten, kto się oddał, nie należy już do siebie i nie może się odebrać. Małżeństwo z zamiarem nierozłączności (à fin perpétuelle), jest jedyną formą, w której spodziewać się można tego wzajemnego przeniknięcia się dwóch istot, przez które te istoty niepełne (w samotności) dopełniają się, poprawiają się — doskonałą się jedno przez drugie, i dochodzą nareszcie, często już pod wieczór życia, do poznania się, do się urzeczywistnienia i stwierdzenia w pełnym rozwoju życia. Sam nikt do tego nie dochodzi. Znamy się wtedy, gdy wiemy, czem jesteśmy w oczach towarzysza naszego życia, naszych prac i naszego świętowania, naszych boleści i naszych radości. Ta świadomość siebie wzajemna, ta świadomość harmonijnie zgodna — to jest szczęście dopiero, to jest prawdziwe, jedynie szczęście z podstawą trwałą. Człowiek kochający się w używaniu przyjemności (l'homme de plaisir) nie domyśla się istnienia takiego szczęścia — żałujmy go, że osiągnąć go nie jest w stanie.“

Ale małżeństwo takie ziścić się może tylko między dwójem ludzi uczciwych i wiedzących, że uczciwość jest to spełnianie obowiązków małżeńskich w znaczeniu istnienia dwojga ludzi życiem jednym, ze wspólnym celem, ze wspólnymi trudami, ze wspólnym, jednakowym w stopniu, używaniem. Otóż egoizm nie dopuszcza tego, bo chęć zachowania swego oddzielnego istnienia dla przyjemności i celów własnych — małżeństwo roz-

klada. Jest pewna summa egoizmu nawet w duszach bardzo cnotliwych ludzi, ale w małżeństwie musi go unicestwić albo miłość, która jest nad egoizm wyższą, albo to pojęcie obowiązku, wykazujące, że kto chce być w małżeństwie stroną na własny rachunek używającą, zadawalniacą się, już idei małżeństwa przeczy. Miłość i obowiązkowość utrzymuje małżeństwo; natury samolubne, którym brakuje właśnie tych dwóch przymiotów są w małżeństwie nieszczęśliwe i unieszczęśliwiają — dlatego rozwód przypuścić trzeba. Małżeństwo z zasadą nierozzerwalności nietylko może dawać najwięcej i najpewniejszego szczęścia, ale najlepiej wychowuje dzieci. Wychowanie musi mieć podporę stałą, musi mieć wspólną pracę ojca i matki, wspólny wpływ męskiej siły i kobiecej uczuciowości, aby łączyło wszystkie warunki dobrego kształcenia dziecka.

Autor marzy dalej w kierunku utopii, niewątpliwie szlachetnych, ale utopii tylko. Dziedziczność majątku psuje idealną sprawiedliwość, idealny porządek moralny. Gdyby tego nie było, rodziny nie skąpiłyby wtedy, jak skąpią teraz, ściskając się tam, gdzie wszystko, co jest szlachetnym popędem, szlachetnym celem człowieka skłania do szczodrości. Powtóre zasługa tylko i praca stanowiłaby o stanowisku człowieka: „energia, inicjatywa, inteligencya narodowa zyskiwałyby na tem.“ Byłoby to, jednym słowem, panowanie sprawiedliwości i zasługi, gdyby syn bogatego rodu dostawał tylko jakąś małą cząstkę majątku potrzebną mu do pierwszej walki z życiem, do pierwszego kroku w świat, a wolność, godność kobiety — postęp szczęścia w pokoleniach przyszłych otrzymałyby podporę najpewniejszą, gdy córka nie miała posagu Szyby za mąż najpiękniejsze, najdzielniejsze, najdoskonalsze duchem i ciałem byłyby matkami, a z drugiej strony zaginęłoby plemię nikczemne karyerowiczów posagowych. Mężczyzna młody brałby się dzielniej do pracy, licząc na nią tylko i utrzymałby szlachetniej osobistą godność swoją — co, jak sądzę, dzieje się i dziś z każdym podnioslejszego ducha młodzieńcem. To tylko jest tu argumentem znaczenia wielkiego, że nie było by biednych, oszukanych kobiet, „nie byłoby kobiet dotkniętych nikczemnymi hołdami (les hommages ignominieux) łowców posagowych.“

Co zrobić przecież, aby się nie sprzedawała kobieta, gdy ów zubożony własną pracą mężczyzna, zwróci się do niej z uczuciem swoim? Tak jak dziś, tak i wtedy oszukany mógł by on być przez tę, idącą za mąż nie dla człowieka, ale dla pozycyi, którą przedstawia — dlatego, aby nie zostać starą panną! Trzeba też powtórzyć z Heinym: „Historja, jak świat stara, która wciąż się ponawia, a komu się przydarzy, to mu serce zakrwawia“, dalej przypomnieć autorowi, co sam powiedział: że prawa są to tylko trakty bite, wskazujące główne kierunki ludzkości, obok których istnieją przecież drogi poboczne i niemi dąży tysiące ludzi w strony swoich pożądań i upatrzonych łupów. Są też, na szczęście, inne jeszcze prócz kodexów, prawa ludzkości rządzące — prawa nie już jednostek społecznych, ale duchów ludzkich — prawa moralne, które stanowią o godności człowieka, o wielkości, szczęściu i potędze narodów — prawa moralności i religii, które autor uznaje, których wpływy na udoskonalenie osobistości ludzkiej stwierdza. Szkoda tylko, że panuje w jego książce pewien nieład w układzie treści, ztąd też myśli nieraz się płaczą i dla mniej uważnego czytelnika wychodzą niedosć jasno. Przytem styl jest ciężki, język przeładowany prawnymi i filozoficznymi terminami, co dla ogółu czytających, zwłaszcza kobiet, o które tu chodzi, stanowi trudność dokładnego zrozumienia rzeczy. Jeszcze kiedy pismo nasze wróci do niektórych spostrzeżeń szwajcarskiego uczonego.

M. Ilnicka.

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Xięzki — wołał — a nie czyni że ty mi tego dyzhonoru, abys mój namiot pomiął, ust nie umoczywszy, chleba nie przełamawszy.

— Strażniku kochany — wołał Xięzki — czasu nie mam, prowadź nowo zaciężnego siostrzeńca, którego trzeba od stóp do głów oporządzać, a czasu mamy skąpo.

Wskazał na Strzębosza.

— A — no to właśnie nowo zaciężnego trzeba oblać! — krzyknął Jaskulski — musi być przecie ochrzczonym.

— Strażniku mój — przerwał Staszek. — Ten z Warszawy wprost ze dworu jedzie, a tam niechrzczonych nie żywią.

Porwano tymczasem, już się nieopierającego Xięzkiego, prowadząc pod namiot, a Strzębosz musiał iść za nim. Stół, do którego ich napędzono, był już do zdobytego miasta podobny. Nie zbywało na nim na pełnych jeszcze misach i dzbanach, ale opróżnionych z zastygłymi saporami było więcej jeszcze, a pokruszonego chleba, powyracanych szklanek i kubków ważyło się mnóstwo. Na ziemi też potłuczone wałło pod nogami dźwięczało. Niektórzy z biesiadników siedzieli jeszcze kupkami przy dzbanach, kilku, na rękach złożywszy głowy, spało niewyczasowanych, najwięcej około stołu wędrowało potrącając się, łącząc, rozchodząc, i głośne zawodząc rozmowy.

Chmiel, Tatarzy, król, pospolite ruszenie, pułki panów przyobiecane stanowiły treść wszystkich gawęd.

— Tym razem — mówił jeden z olbrzymiemi wąsami rozrosły i obcisło odziany szlachcic, na którym odzież zdawała się pękać, tak ciasno na nim leżała, co budowę jego ciała ogromną, silną i kształtną doskonale uwydatniało — tym razem, mości tego, pospolite ruszenie zawodu nie uczyni, zewsząd są wiadomości najlepsze. Sami wojewodowie prowadzą, księżę Dominik też idzie!

Rozśmieł się pogardliwie, rzucając ramionami.

— To tylko enigma, jak długo szlachta wytrwa z nami w polu, bo ona za domem zatęskni, a jak jej się krupniku jejmościego zechce, żadna siła nie strzyma!

— Ja dłużej, jak za sześć tygodni nie ręczę — wtrącił drugi.

— A gdy wojna się tak prędko nie skończy, to co? — spytał wąsaty olbrzym.

— To nam ona spadnie na ramiona — zawołał inny — ani chybi, i będziemy musieli sami reszty dokonać.

— A ja sądzę — rzekł inny — iż chyba Bóg nie łaskaw, nawet czterech tygodni cała sprawa nie potrwa. Takiego wojska, jak oto nasze będzie, ani Tatarowie, ani Kozacy nie widzieli jeszcze. Gdy potężną nawałą padniemy na nich, zgnieciem na miązge.

Stojący obok niedowierzająco się rozśmieł.

— Tymczasem, mówią — zawołał ktoś z boku — że Chmiel Hana zapraszając i namawiając go do zerwania traktatu, zapewnił, iż tylko teraz iść ma po łupy, a będzie z tego ula podkurzonego miód brał garściami, pszczoł się nie mając co obawiać.

— Han też się dał namówić — rzekł inny. — Wlecze się z ordą ogromną, słyszę i dewastacje czyni straszne.

— Pomścimy je — wtrącił nadechodzący Jaskulski. — Wiem z pewnością, że król, mając wy-

zakładów bardzo u nas pożądanym i potrzebnym, bo tym sposobem usuwa się wyzysk mniej sumiennych producentów, w których rękach pozostawały dotąd przeważnie składy odzieży w miastach i miasteczkach mniejszych. Trzeba by nam takich szwalni, jak p. Sulistrowskiej, w różnych stronach; trzeba by ich nam na obsługę wsi, których mieszkanki przy zmianie stosunków ekonomicznych zmieniają i ubiór tak swój, jak i dzieci, na wytworniejszy i z wyższych, niż niegdyś, materiałów robiony. Wiemy, że znaczne partie takich ubiorów na potrzeby klas niższych i średnich wchodzi do nas z Prus, co nie tylko jest stratą grosza naszego na korzyść cudzej produkcji, ale i wynaradawianiem naszego ludu z rodzimego naszego smaku, z rodzimej, tradycyjnej odzieży. A dlaczego to cały Śląsk, Prussy Wschodnie i Zachodnie, cały poczciwy lud poznański przestroił się na wzór niemiecki? Przemysł krajowy nie dostarczył mu odzieży, i brał ją, jak znajdował — brał ją, bo innej mieć nie mógł, i niejedna z tych rodzin zubożałych, która dziś nasz proletaryat narodowy powiększa, mogłaby była utrzymać się przy swoim kawałku ziemi, gdyby jej córki, odrzucając na bok lichą dumę rodową, stały się były uczciwymi robotnicami i rozumnie, na zasadach dobrze obliczonego handlu i przemysłu, służyły społeczeństwu pracą rąk swoich. Czyż obecnie nie skarżymy się na biedę, czyż nie przechodzimy przez ciężkie przesilenie finansowe: a przecież w Kwietniu roku bieżącego *Kuryer Warszawski* donosił, że jeden z warszawskich kupców sprowadził z fabryk niemieckich znaczny zapas sukman wieśniaczych i innych części ubrania wiejskiego. A czy to sukman tych nie można szyć u nas? Zapewne krajowe fabryki nasze dostarczyłyby na nie tradycyjnego granatowego, lub siwego sukna, ale szycie sukmany to już robota cięższa i wymagająca więcej ręki męskiej; przecież są „inne części ubioru“ jest bielezna, są kamizelki, które kobieta może wykonywać i które szwalnie nasze, czy wiejskie, czy małe miasteczkowe wykonywać powinny, pod kierunkiem i natchnieniem, ze współudziałem pracowniczym kobiety intelligentnej. O wyrób w szwalniach wiejskich i sprzedaż w sklepach wiejskich ubiorów wieśniaczych kobiet i dzieci, pismo nasze woła już od lat kilkunastu: jest tu i sposobność do zarobku i uczciwy czyn obywatelskiej zasługi na polu krajowego przemysłu. Obecnie wieśniaczki nasze tradycyjne swe kostiumy coraz więcej do ubiorów miejskich zbliżają. Zaczęło się to w Płockiem i ogólnie w pasie kraju nadgranicznym, gdzie im niemiecki spekulant za pośrednictwem naszego najlichszego handlarza gotowej odzieży dostarczał. Ale są pewne prądy nowatorstwa, których zawrócić nie można, zwłaszcza, gdy się o tem późno myśli; więc już obecnie stosować się trzeba do wymagań i gustu, jaki się w ludzie naszym wytworzył, co przecież nie zmienia bynajmniej rzeczy, że jest w kierunku wyrobu odzieży wiejskiej pole dla pracy kobiety niezamównej, że trzeba stanąć na niem, aby grosz za granicę nie uciekał, a lud na niemiecką modłę gustu swego nie urabiał. Swojskość to jak powietrze: jest we wszystkim i wszędzie, tam nawet, gdzie się tego widzieć nie daje, gdzie ręką ująć nie można. Powiedzieć tu trzeba z poetą: — Mój serce i patrz w serce... Co cię obcą wionią zaleci, co obcym akcentem w moralnym słuchu twoim zgrzytnie — to obce, to nie twoje....

Dalekośmy odbiegli od szwalni p. Sulistrowskiej, bo rzecz dotknęła tego, co jest w piśmie naszym od początku jego istnienia kwestyą zawsze otwartą: przemysł wiejski, praca kobiety umiejscowiona, nieodrywająca jej od rodziny, od ogni-

ska domowego, niepędząca do miasta, gdzie spotyka się tyle zawodów, gdzie czyha tyle przykrości na nieznaną warunków miejskiego bytu, wychowaną w nawykniach innych. Ale, wracając do przedmiotu, dodać należy, że p. Sulistrowska rozwijając przedsiębiorczość swoją, otworzyła w pobliżu swej szwalni, przy ulicy Olszańskiej sklep spożywczy. W przedmioty tego rodzaju, których miejscowa produkcja dostarczyć nie mogła, w tak zwane „towary kolonialne“ p. Sulistrowska zaopatrzyła się w Warszawie, i jak wiemy, w składach najbardziej wyborowych.

— W *Kaliszaninie* poruszona została przez stałą tej gazety współpracowniczkę: *Z—ją* kwestya, dotycząca szwaczki domowej, pracującej na dnie. Szwaczka taka przybywa zwykle w Kaliszu o umówionej 8-ej lub 9-ej godzinie rano i mniej więcej do takiej samej godziny wieczornej siedzi przy robocie, więc pracuje dwadzieścia, a w najlepszych warunkach jedenaście godzin. Jaką jest cena tej roboty? to już zależy od umowy, od wyższej lub niższego w rzemiośle swoim uzdolnienia robotnicy, w każdym razie praca ta zabiera jej dzień cały i korespondentka *Kaliszanina* czyni uwagę, że szwaczka pracująca w magazynie ma przynajmniej (według obyczaju kaliskiego) dwie godziny wolne, w których wychodzi na obiad do domu, więc prócz przejścia się i odetchnięcia świeżym powietrzem, już ma czas na odczynek, którego nie dostaje robotnica domowa, zaraz od obiadu, od stołu siadająca do roboty. Otóż *Z—ja* upomina się pocziwie za tą, dla której tak długa robota musi być uciążliwą, zwłaszcza w czasie takich, jak obecnie porze upałów, gdy „igła skrzypi w rękę, a pot występuje na czoło.“ — „Należałoby też wprowadzić zwyczaj dawania choć godziny, lub przynajmniej pół godziny czasu odpoczynku“ pisze, dodając, że każda pani powinna zarazem dołożyć starania, aby ten czas wolny mógł być przepędzony na świeżem powietrzu. Może przecież byłoby najlepiej zostawić interessowanej swobodę użycia wolnego czasu według chęci, tak jak to ma miejsce z robotnicą wychodzącą z magazynu.

Rozkład czasu dla robotnic magazynów i szwalni warszawskich jest nieco inny. Robotnice przychodzą zwykle o 9-ej rano; jedne siedzą do 7-ej wieczorem, inne w magazynach na większą skalę, a zwłaszcza wyżej już uzdolnione, tylko do 5-tej. W południe, te, których domy rodzinne są blisko, co przecież zdarza się bardzo rzadko, bo zwykle robotnice mieszkają na ulicach dalszych, gdzie mieszkania są mniej drogie, wychodzą na obiad, co przecież nie powinno trwać dłużej nad godzinę, jeżeli nie ma umowy szczególnej; większość przecież zostaje w miejscu i tylko na użytek tych pozostałych wnosi się do sali robotnic gotujący się samowar, z którego każda korzysta, jak chce, albo osobno w swoim imbryczku zaparzając sobie herbatę, lub urządzając ją wspólnie, przyczem jedzą się przyniesione z domu zapasy chleba, z jakimś dodatkiem zimnego mięsa, lub masła, czy sera. Wszystko to wyniesie zapewne godzinę czasu.

— Zapisy testamentowe Zofii Agaty z Józefów Tarkowskiej zostały zatwierdzone i przyjęte przez radę miejską warszawskiej dobroczynności publicznej: dla zakładu paralityków 6,000 rs., dla sierot Towarzystwa Dobroczynności połowa tej sumy po opędzeniu kosztów pogrzebowych testatorki. Dla kaplicy przy szpitalu dzieciennym pianino.

— Według ogólnego obrachunku sum, danych przez p. Kochańską Sembrich na biednych Warszawy, Krakowa i Lwowa wypadnie razem

około 6.000 złr., do czego dodać jeszcze trzeba, że we Lwowie wzięła ona bezinteresowny udział w koncercie biednego wygnańca z Niemiec, Nikodema Biernackiego, wreszcie wymówiła się od kosztownego bankietu, jaki we Lwowie chciano jej wdzięcznie urządzać.

— Modrzejowska otrzymała szczególne powołanie (has made a hit) w Ameryce, w dramacie Calderona „Donna Anna“, zastosowanym do sceny dzisiejszej przez Dra Westland Marstone.

— W salonie paryzkim utwory kobiecej sztuki, zaznaczają się pomyślnie. Pierwsze między niemi miejsce trzyma obraz Ludwika Abbéma: „Tragedya i Komedya“, dalej wyliczają w dziale rodzajowym: siostr Paton Commère: „Pieśń Lasów“ Adryanny Lavieille: „Wyjście ze szkoły“, Aliny Billet „Na łące“, Agaty del Sarte „Zebra“ W scenach morskich Zofia Collart, w obrazach natury Elodia La Vilette, w portretach Ludwika Breslau, Franciszka Donnadiou i Małgorzata de Mesnil zastrzyły na wzmianki zaszczytne. Rzeźba miała tylko dwie reprezentantki, zaznaczające się wyższym talentem: de Saimour wystawiła posąg wielkości naturalnej: „Nowa Francya“, Amelia Colombier popiersie znanego pisarza: Arseniusza Houssaye. Prócz tego znajduje się, szczególnie w dziale kwiatów i portretów, zwłaszcza pastelowych, wiele prac kobiecych. Już to daje im znaczenie pewne i jest uznaniem talentu, że przyjęte zostały, gdy mnóstwo utworów dobrze malowanych nie znalazło przyjęcia.

— Dwa wielkie dobroczynne zapisy otrzymało miasto Paryż z rąk kobiecych. Mme Chennevert, bratowa malarza tegoż nazwiska, zapisała Paryżkiej Akademii Sztuk Piękných trzy miliony franków i galerią obrazów, cenioną wysoko, Mme Furtado Heine wybudowała i urządziła lecznicę dla dzieci, w której dziennie otrzymuje poradę lekarską od 400—500 dzieci. Koszt utrzymania zakładu wynosił 120,000 franków rocznie. Otóż pragnąc aby to jej dzieło dobroczynności stało się fundacją trwałą, założycielka zwróciła się do rządu francuzkiego z propozycją darowizny, byle tylko przyznano zakładowi godność „użyteczności publicznej“, dając mu wskutek tego opiekę rządową. Donatorka zapewnia zakładowi 80,000 franków rocznego dochodu.

— M-e Krzysztofowa Merian zapisała w tych czasach miastu Bazylei 20,000,000 franków. Trzy takie wielkie zapisy, prawie jednocześnie uczynione, zwróciły uwagę ludzką i doprowadziły do spostrzeżenia, że obecnie kobiety samotne zapisują niemal ogólnie majątki swoje instytucjom dobroczynnym, a przez nie — krajowi. Dawniej zwykle obdarowywanym był jeden z członków rodziny. „Czyby to znaczyło zmniejszenie się w sercu kobiety uczucia rodzinnego, na korzyść uczuć obywatelskich?“ — pyta się Juliusz Simon w „Debatach“.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **Szaleństwo**, przez Z. Mairret.

TREŚĆ. Pogawędka. — Z poezyi północno-amerykańskiej, Kamadeva. — Prawa kobiety, dokończenie, przez M. Ilnicką. — Boży gniew, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Teatr rosyjski w Warszawie. — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej. **Dodatek obejmuje:** Arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **Szaleństwo**, przez Z. Mairret. — 27 wzorów ubiorów robot wraz z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glucksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 21 Мая 1886 года.